XXVII. Kraków, 15 maja 1924 r. Nr. 10.

„BOCIAN"

Wychodzi 1-go i 15-go każdego miesiąca.

PRENUMERATA miesięczna z przesyłką pocztową Mp. 2,450.000. —
Zagranicą podwójnie. W Ameryce rocznie **8 dolarów.**

ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI:
KRAKÓW XV., ul. Kazimierza W. 95. (dom własny) Telefon Nr. 479

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem

Numer pojed. 1,200.000 Mk. W Warszawie do nabycia wszędzie. W Łodzi Biuro dzienników „Promień" Piotrkowska 51.

Flirt ze sportem



Dotąd tylko mężczyźni, dumni władcy świata
próbowali sił swoich w zawodach i sporcie,
dotąd jeszcze kobietę mur chiński i krata
trzymały przy pieluszkach i kuchennym torcie

Grek-mężczyzna w igrzyskach zdobywał laur wonny,
gladjator w kolosseum pierś w pierś szedł w zapasy
patrycjusz starej Romy w rydwan czterokonny
siadał z biczem i pędził areną z hałasem.

Nowoczesna Europa banalna, jak glista
mężczyzn wyższość sławiła na torach i startach
Atleta, jeździec, biegacz, wioślarz i cyklista
bronił sportu płci pięknej, jak brutalna warta

Teraz nowy dzień nastał! Wstałyśmy, jak burza
idziemy nagie, mocne na plac Olimpjady
śmiało pływak – kobieta w głąb fal się zanurza
i stają do wyścigu rasowe my-lady.

Nasze uda są twarde, sprężyste i ścigłe
nasze stopy są rącze, jak skoki zajęcze
nasz rekord w sztandar sportu wbijemy, jak igłę
i tryumf rozepniemy nad światem, jak tęczę.

Smiało naprzód! Arena przed nami otworem –
Niech siłę naszych nóżek pozna rywal męski.
Raz – dwa – trzy! Wszystkie razem. Olimpijskim torem!
Nasz wielki bój sportowy dziś będzie zwycięski.

Pr. III. 62|24 / 2

W Imieniu Rzeczypospolitej Polskiej!

Sąd okręgowy karny jako prasowy w Krakowie orzekł na wniosek Prokuratury po myśli § 493 uk.

I. Treść zamieszczonej w numerze 9 perjodycznego czasopisma drukowego „Bocian" z daty Kraków, dnia 1 maja 1924 r. ilustracji i wiersze z napisem: „Prawdziwy kochanek" w trzech strofach zaczynających się słowami: „I oto za godzinę" a kończących słowami: „w szał ją przemienia" zawiera przedmiotową istotę występku z § 516 uk.

II. Zarządzona konfiskata powyższego czasopisma zostaje zatwierdzona, a cały zabrany nakład tegoż ma być zniszczony.

III. Zakazuje się dalszego rozszerzania inkryminowanej ilustracji i wiersza albowiem tak powyższa ilustracja jak też umieszczony pod nią wiersz obraża obyczajność i wstydliwość w sposób grubv, publiczne zgorszenie sprawiający

Równocześnie poleca się Redakcji czasopisma „Bocian" aby tę uchwałę w najbliższym numerze czasopisma na pierwszej stronie pod rygorem § 20 ust. pras. bezpłatnie zamieściła.

Kraków, dnia 5 maja 1924 r. (podpis nieczytelny).

Zazdrosny mąż.

Mojżesz Bulwes jest szalenie zazdrosny o swoją żonę, młodą i pełną wdzięków Sarę. Ponieważ jest on z zawodu komiwojażerem, więc często czas długi spędza poza domem. Powraca zawsze z panicznym strachem, czy jego żona nie zdradziła go w jego własnej małżeńskiej sypialni.

Pewnego dnia wpada Mojżesz jak błyskawica w jej komnate.

– Sare, Sare! tu ktoś jest?!

– Tu niema nikt, daję ci na to kawałek słowa honoru, Mojżeszu!

– Sare, nie kłamaj – ktoś tu jest!

Biega, szuka, zaciska pięści.

Zagląda do szafy. W szafie kuli się w trwodze mały, mizerny żydek. Mojsze wpada w wściekłość.

– Co pan tu robi?!...

– Ja... nic.. ja tu... czekam na tramwaj.

Innym razem Mojżesz Bulwes wbiega znów jak lew do buduaru małżonki. Wietrzy, śledzi, węszy, szuka. Otwiera szafę...

W szafie oficer strzelców konnych z wymierzoną w pierś jego rewolweru lufą...

Mojsze: Aa... ładnie panowie wojsko. Co pan tutaj robi?

Oficer: Mnie tutaj niema...

Tu rewolwer zabłysł groźnie w jego dłoni.

Mojsze: Tak jest, proszę pana – pan ma rację. Pana tutaj niema...

I cofnął się przed przewagą sił zbrojnych.

Innego znów dnia mąż osłupiały łapie Sarę „in flagranti", ze swoim przyjacielem Salomonem.

Mojsze za głowę się łapie.

– Sare, Sare – jak ty mogłaś popełniacz takie wielkie świństwo. To jest skandal, to jest połamanie wiernoszczi małżonkowskiej. Aj, aj, aj!..

Na dworze królewskim.

Na jednym z dworów europejskich, gdzie pożądany byłby następca tronu, rodzi się już czwarta z rzędu córeczka. Marszałek dworu komunikuje królowi pewnej nocy:

– Znowu córeczka! Wasza Królewska Mość będzie się musiała jeszcze raz pofatygować.

Doświadczona.

Mężatka (do wdówki nowozamężnej): Jakże tam sprawia się twój drugi mąż?

Eks-wdówka: Nieźle... Ale to tak zawsze bywa, że nowa miotła dobrze wymiata.

Poznała się...

– Ty Mańka, co to znaczy: „Cel matrymonialny niewykluczony?".

– Et. to jest tylko *takie gadanie!...*

Tęsknota wiosenna.



Wstaję sobie, jak codzień z białego łóżeczka
gdzie mnie słodko noc całą pieściły sny złote
znów mnie szorstko jak lalkę wyjął z pudełeczka
dzień nowy, wciąż tą samą budzący tęsknotę – –
Wczoraj przecież tak samo stałam tu przy oknie
w kombinacji jedwabnej leciuchnej, jak chmurka
patrzę znów dziś na ogród, jak w słocie ziej moknie
i jak ptaki z łez rosy otrzepują piórka.
Myślę sobie, że może z alei tej w parku
wyjdzie ku mnie zjawisko promienne i smukłe,
Królewicz, czy poeta - a ja mu w podarku
dam swe serce i piersi, jak owoc wypukłe...
– – – – – – – – – – – – – – – – – –
– – – – – – – – – – – – – – – – – –
Czekam, czekam tak długo i tak bardzo smutnie
– może wcale go niema, może mi się zdaje,
na mej bladej twarzyczce, jak malarz na płótnie
maluje lęk rumieńce i serce mi kraje.
Dreszcz całuje me plecy, pierś boli mię prawie,
usta pala, jak węgiel, ramiona się prężą...
O przyjdź, drogi, wyśniony – jak łabędź na stawie
płyń ku mnie, – chcę być Ledą... Za długo mnie [więżą...
Oh, nie mogę... już płaczę. Narzucam sukienkę
i biegnę w park, naoślep w deszcz w wicher [na niebie
I całuję bzów krzewy, liść mokry mnę w ręku
pieszczę jaśmin w altanie, gdy nie mogę ciebie.

Pytanie i odpowiedź.

– Co to jest kość pacierzowa?

– To jest taka sobie kość, co ma dwa końce.

– ???

– Na jednym końcu siedzi moja głowa, a na drugim siedzę ja.

Dobrze zrozumiał.

Józio: Proszę taty, co to jest anonim?

Ojciec: Anonim moje dziecko jest to człowiek, który czegoś dokona, coś zrobi n. p. napisze, narysuje i t. p. – i chce pozostać wobec świata nieznanym.

Józio: Aha, dziękuję. Rozumiem...

A w kilka dni później...

Ojciec: Józiu! kto stłukł karafkę?

Józio: Anonim, proszę taty.

Między mężatkami.

– Więc twój mąż siedzi ciągle w domu?

– Tak jest! Ani rusz pozbyć się go bodaj na pół godziny-

– W takim razie zrób tak, jak ja robię! Ilekroć chciałabym być sama, zapowiadam mu, że cały dzień spędzi u nas moja mama... Jak pójdzie rano, nie wróci, aż późną nocą!

Po ślubie.

– Dobrześ zrobiła moja żoneczko, żeś się opierała dłuższy czas mym oświadczynom! Gdyby nie to, nie byłbym się z tobą nigdy ożenił...

Aforyzmy.

Żony zwierzają się przed mężami z swych małych tajemnic, aby móc ukryć większe.

* * *

Na pierwszą randkę mężczyzna *biegnie*, na drugą *idzie spacerkiem*, a na trzecią *wlecze się*

* * *

Niektóre kobiety rzucają spojrzeniem, które cenzura powinna konfiskować.

* * *

Łatwiej jest kobiecie być *lepszą* połową, jak *dobrą* połową.

* * *

Moda jest sztuką przepisowego zniekształcenia się.

* * *

Są mężczyźni, którzy z tego się utrzymują, iż o niczem nie chcą wiedzieć.

* * *

Kobiety chętnie słuchają gdy ich kochankowie dobrze się wyrażają o ich mężach.

Genjalny lekarz.

Doktor M. na cztery dni wyjeżdża.

Zostawia swojego asystenta i pomocnika z pełnomocnictwem udzielania porady w lżejszych wypadkach.

– Masz tu aspirynę, kwaśną wodę i rumiai nek. Rób z tem co możesz. Innych leków an recept wydawać nie wolno.

– Dobrze panie doktorze.

Przychodzą pacjenci. – Jednym odmawia porady, innym - „lżejszym wypadkom" udziela jej chętnie.

Zjawia się młoda i piękna pani.

– Co pani jest?

– Panie dr... t. j. panie doktorze. Mnie boli..

– Z powodu?

– Zaszłam w... w tą...

– Powiedzmy ciążę?

– O, to, to – to samo. Zgadł pan...

– Hm, hm...

– Więc co robić?

Pomyślał chwilkę...

– Proszę pani... jedynie tylko rumianek...

– Jakto rumianek...

– Proszę, oto recepta. 3 szklanki na godzinę – tj. w ciągu dnia 64, a w ciągu czterech dni 256 szklanek. Za cztery dni wraca mój szef. Proszę przyjść do zbadania... Mam jednak nadzieję, że do tego czasu „corpus delicti" się utopi...

Atak na „Bociana".

I.

Pewnego dnia wiosennego depesze iskrowe przyniosły do redakcji „Bociana" hiobowe wieści.

— Baczność „Bocianie!" Ruch w kraju. Groźne armje twych wrogów zbierają się i gotują do zbrojnej wyprawy. Hanni bal ante portas!

Zadrżał redaktor główny i jęknął...

Inni spuścili na kwintę klasyczne głowy...

Ale nie...

Precz z trwogą, precz z paniką, precz z niedołęstwem.

Podniósł się górnolotnie i stanął na palcach główny redaktor. Pierś wypiął dumnie — głowę odrzucił wstecz, jak niedopałek papierosa. Był straszny... Zdało się, że mury gmachu rozstąpią się, że ściany rozlecą się jak domki z kart pod jego potężnem tchnieniem.

Trzęśli się wszyscy, jak galaretka owocowa.

A wtedy runął na świat jerychoński puzon jego głosu.

— Panowie! Nie damy „Bociana" skąd nasz ród! Będziemy się bronić, jak lwy do ostatniego naboju. Jeśli padniemy, to jako trupy! Naprzód, na wały...

— Na wały! — odegrzmieli ponuro poboczni redaktorzy.

— I wybiegli galopem z redakcyjnego salonu, ociekając pianą wściekłości. Na dziedzińcu głucho dudniał tętent ich wytwornych, eleganckich kopyt firmy „Zdanowicz".

II.

Na mieście ruch i wrzawa. Ogromne stada Zytek i dziewic katolickich kłusują po ulicach w hełmach szturmowych poniżej grzbietu dla ochrony od postrzałów z tyłu. Dystyngowana, 50-letnia dama dzierżąca „kommando" zwinnie wylazła na kapelusz Mickiewicza, wegetującego na pomniku na Rynku i wygłosiła płomienną przemowę...

— Panie! koleżanki! kobiety! Naładujcie się odwagą tak twardo, jak naładowują się powietrzem pneumatyki automobilów. Tryśnijcie męstwem w kierunku wroga i złapcie za dziób raz wreszcie tego przeklętego „Bociana", który tak bezwstydnie dziurawi niepokalaną tarczę naszej cnoty. Ten lubieżny ptak, ten pelikan ohydny śmie deprawować, degenerować i demoralizować świeże, prosto od krowy i nie nadpsute dusze. Nie damy! Nie pozwalamy! Veto!

— Veto! — zajęczały, zapiszczały, zaskomliły i zakwiliły istoty rodzaju żeńskiego zmięto-szone w jeden damski tabun pod nosem pomnika Mickiewicza.

Tu nastała dywersja.

Policjant uchwycił za hajdowerki dystyngowanego andrusa, który tylną częścią ciała stroił Mickiewiczowi pocieszne grymasy.

— Drania! — huknął policjant. — Poważny gość stoi na pomniku, a ty mu tak?...

— Jabym też stał, gdyby mię postawili — odpieprza ten uliczny chłopczyna — a zresztą co mi ta za poważny, a ma mleko pod nosem!

— Co jest! jakie mleko?

— A — o!

Tu wskazał filuternie palcem na otyłą białogłowę, której płuca i to, co kobieta nosi na płucach napęczniało do niebywałych rozmiarów dając niepomowi pretekst do jego mlecznych aluzji...

Tłum kwiknął, zachwiał się, jak krakowski policjant po 8-miu butelkach alkoholu i skoczył jednym susem na andrusa. Ale tenże zniknął w podziemiach „Sukiennic" — gdzie kobiety nie wlały się za nim z obawy przed smokiem...

Poczem wszyscy i wszystkie chwycili za broń i nastąpiło przygotowanie do boju.

III.

Kichnął na alarm „Bocian" w gnieździe na redakcji „Bociana" dając znać o zbliżającem się niebezpieczeństwie.

Trębacz na „Marjackiej Wieży" chwycił swój długi na taśmie przypięty... i zarżał.

Bo niczem innem, jak tylko rżeniem bojowego ogiera można nazwać tę muzykę pana Hejnała. Urżnął się w dniu bieżącym sam na sam w swojej podgwiezdnej kanciapie 7-miu litrami „Palić-jaja" — i zaplut trąbę, wskutek czego ona była już w stanie rżeć tylko, jak rumak Jagiełły z podwiniętym do boju ogonem.

Na to hasło z hukiem, szumem i łomotem wyjechały z Rondla cztery olbrzymie „Smoki" pełne rozwścieczonych starych panien i waliły z hałasem wprost na redakcję „Bociana" bryzgając śliną, żółcią i specjalnie na ten cel sporządzonem krakowskiem błotem.

Plan oblężenia był genjalny...

Pod osłoną smoczych tanków biegły do szturmy wyborowe oddziały szturmowe, jakoto „Krowoderskie Zuchy" w krótkich spódniczkach rozciętych od stóp do głowy dla porażenia nieprzyjaciela widokiem koronkowych majteczek. Za nimi ciężka kawalerja „Zytek" tupotała podkutymi odnóżami tratując i miażdżąc wszystkie przeszkody. Kobiety z linji A-B uwieszone u gumowych baloników imitowały eskadrę lotniczą, obrzucając bezwartościowymi jajami gmach redakcji. Stare damy znane z cnoty i lekkich obyczajów pluły nadzwyczaj celnie z odległości dwu kilometrów.

Odgłosy komendy zlewały się z jękiem poranionych nieostrożnie przez obrońców niewiast w jeden straszliwy, zgrzytliwy hałas — coś na kształt krakowskiej orkiestry symfonicznej słynącej z fałszu i obłudy....

IV.

Redakcja walczyła bohatersko...

Główny redaktor poległ już kilkakrotnie na polu chwały, ale dzięki interwencji „Bociana" zmartwychpowstał z pieluszek. Obrońcy przerzedzali się i padali, jak podcięte snopy w pełni swoich nieodżałowanych sił męskich. Ale „Bocian", ten nasz poczciwy, ukochany „Bocian" płodził wciąż nowe i nowe noworodki, które mimo młodego wieku z szaloną brawurą rzucały się na wały i odpierały piersi wrogów, ssąc z nich otuchę i trjumfalny bodziec do dalszej obrony.

Były tam czyny godne homerowego pióra.

Straszliwa szurża „naszych najmłodszych" w kołebkach ciągnionych przez bociany zaćmiła ową znaną powszechnie Samosierrę...

Pułk czwartaków złożony z czterech buchalterów bronił zaciekle „laski z Olszyny", która była własnością redaktora głównego i służyła za sztandar.

„Trzech muszkieterów" panowie: jeden, drugi i trzeci, znani z panicznej odwagi mimo szalonego bólu w nadwyrężonych muszkietach stawali co chwili do apelu i znów godzili w brzuch nieprzyjaciela.

Sławny pies, własność wydawnictwa, głośny (bo głośno szczeka) i dobrze urodzony, bo z matki Polki, (z rasy kundel) i z „ojca zadżumionych" (z rasy Arab) wybiegła po drabinie na strych, a stamtąd udała się do wnętrzności komina, aby wylazłszy na sam „wierzch" wysokopiennego Eldorado kominiarzy przerazić szturmujących swoim czarnym, niesamowitym kadłubem.

Kobiety myślały, że to pies i uciekły w popłochu.

Ale wnet nawróciły ze wstydem, dodając sobie otuchy wzajemnem poszturkiwaniem się w alabastrowy pośladek, poczem napadły z dziką chucią i zorganizowanem porubstwem na głównego redaktora, który jak zwykle nie wytrzymał i oddał się w ich niewolę, czyli innemi słowy wywiesił białą flagę w najmniej przyzwoitem miejscu. Wcale tem nie zrażone dziewice złapały go za słowo i w żaden sposób nie chciały puścić, chyba pod warunkiem, że wygra zakład „położniczy" i a diskretion pozbawi dziewictwa 44 młode adeptki Amora. Główny redaktor zbladł wówczas na całym ciele, zadarł pedały i zwiał, jak uciekający zefir...

V.

Z nadejściem nocy operacje ustały.

Zwycięstwo „bocianofilów" było zupełne. Zytki podziurawione jak sito zostały na placu pokotem. Stare panny wymordowane wśród krwawych bojów o „marne" swoje żywoty leżały systematycznie i równo jak przez całe życie, jeden tylko fakt zadziwił wszystkich: ten mianowicie, że się po śmierci zeschły nagle, zczerniały jak badyle i zamieniły się w mumje Tutankhamena, które dowiedziawszy się o tem wyparował z grobu i zagrał na dumli znane shimmy: „Da sagt der Tutankchamen!" — Ale fakt ten pozostał bez poważniejszych następstw.

Skoro redakcja po chlubnem zwycięstwie otarła „siódme poty" ze wszystkich części ciała i padła sobie nawzajem w bohaterskie objęcia, rozległ się brzęk chrzęst i chrapliwe rzężenie konającego dzwonka.

— Co to? — zapytali chórem i każdy z osobna.

Ale to nic nie było...

To tylko krakowski tramwaj numero 2, razem ze swoim dychawicznym konduktorem, głuchy na jedno ucho i ślepy na jedyną latarnę postyszawszy podejrzany hałas podniecił się i chciał także trochę powalczyć — i zjechał z szyn biedny, stary weteran pamiętający jeszcze oblężenie Krakowa przez Szwedów, w którem brał osobisty udział, wówczas jeszcze jako beczka u woziwody, służąca do gaszenia bomb — i pozostawiwszy w tyle ostatni przystanek na rogu ulicy Kazimierza Wielkiego przywlókł się, aż pod redakcję „Bociana".

Zobaczywszy, że już po wszystkiem mruknął:

— Veni, vidi, vici!

I odjechał.

A na dowód wdzięczności „Bociana" za dobre chęci na drugi dzień żona konduktora tramwaju Nr. 2 powiła niemowlę z dwoma głowami i z numerem 44 na brzuchu.

Tak skończył się nieforlunny atak złych ludzi na redakcję „Bociana". *Bo-bo.*

Mecenas sztuki.

Malarz Z.: No i cóż?... Czy ten hrabia nie kupił obrazu? A byłbym przysiągł, że się nim interesuje w czasie swej bytności w atelier.

Malarz Y.: I ja tak myślałem!... W końcu poprosił mnie o adres modelki.

■■■

Między bankowcami.

— Słyszałem, że ożeniłeś się. Czy jesteś szczęśliwy?...

— Phi!... Na posag *uznali mnie*, a żoną mnie *obciążyli*.

■■■

Różnica.

Na wielkim balu resursy miała otrzymać pierwszą nagrodę piękności urocza i przepięknie zbudowana blondyneczka, o której tylko mało osób wiedziało, że jest to młodziutka wdówka pani X. z prowincji.

W czasie, gdy miano już przyznać jej nagrodę konkursową, pani X. ciężko zaniemogła i została odprowadzona do garderoby, skąd wprost udała się do domu.

Naturalnie, że komentarzom i złośliwościom nie było końca, a znany cynik mecenas Z oświadczył głośno, iż piękna blondyna zaniemogła wskutek tego, iż wkrótce ma zostać matką.

Na to woła oburzony jeden z młodych panów:

— Jak pan śmie?! Pani X. jest moją kuzynką i od trzech lat wdową!

— A to przepraszam! — mówi spokojnie mecenas Z. — Myślałem, że to jeszcze panna.

Na „jour fixie".

— Kto to jest ta brzydka baba obok okna?...

— To moja żona...

— Ach, co za szczęście, że to nie jest pańska kochanka!...

■■■

Prawdziwe i fałszywe.

— Czy zauważył pan, że moja dziewczyna nosi brylantowy naszyjnik? Cóż pan na to?...

— Jeśli naszyjnik jest prawdziwy, to dziewczyna nie jest prawdziwa, a jeśli naszyjnik nie jest prawdziwy, to dziewczyna jest prawdziwa.

Powód.

— Dlaczegóż pan się nie żeni, panie Stefanie?

— A po co?... Moje długi ulegną już wkrótce przedawnieniu.

■■■

Kobieta leniwa



Za oknem pokoju szeleszczą fontanny
blask, słońce i ogród i kwiaty i cud,
za oknem się koncert odgrywa poranny
a wiosna prym-arję w nim śpiewa jak z nut.

W mem lustrze szaleją słoneczne kaskady,
w mych perskich dywanach gra tęcza stu barw,
ruch wszędzie, deszcz dźwięków, drgnień grady
— świat dzwoni na strunach mandolin i arf.

Ja jedna spokojna, ja jedna bez ruchu
leniwa i senna, wpół drzemię jak kot
mgłę świateł mam w oczach, gwar szmerów mam w uchu
i nie stać mnie wcale na radość, na lot.

Kobietą haremu nazwałby mię pewnie
poeta omdlały w ekstazie u nóg
i dałby, jak wschodniej, zmysłowej królewnie
czar pieszczot, jak rycerz i natchnień, jak bóg.

A mnie się nic nie chce — nic nie wiem o świecie,
nargile swe palę, próżnuję i śpię,
o bajkach Orjentu majaczę, jak dziecię —
i patrzę na słońce przez szkiełko, przez łzę...

Niech przyjdzie mój władca, niech weźmie i pieści
me ciało różowe nabrzmiałe od krwi...
niech kocha, jak emir z arabskiej powieści
najdroższą z niewolnic... „Hurysko ma ty!"...

Kobieta ruchliwa



Gest lubię i pozę i tempo i życie!
Dzień każdy jest inny i inna jest noc..
Dziś to mię porywa, a jutro o świcie
znów nowych senzacji i wrażeń mam moc.

W kawiarni pod palmą przy białym stoliku,
flirt, lody i ciastka, zalotność i krem...
Chcę dzisiaj pojechać twem autem chłopczyku
– rzecz główna jest w tempie, rzecz główna jest w tem:

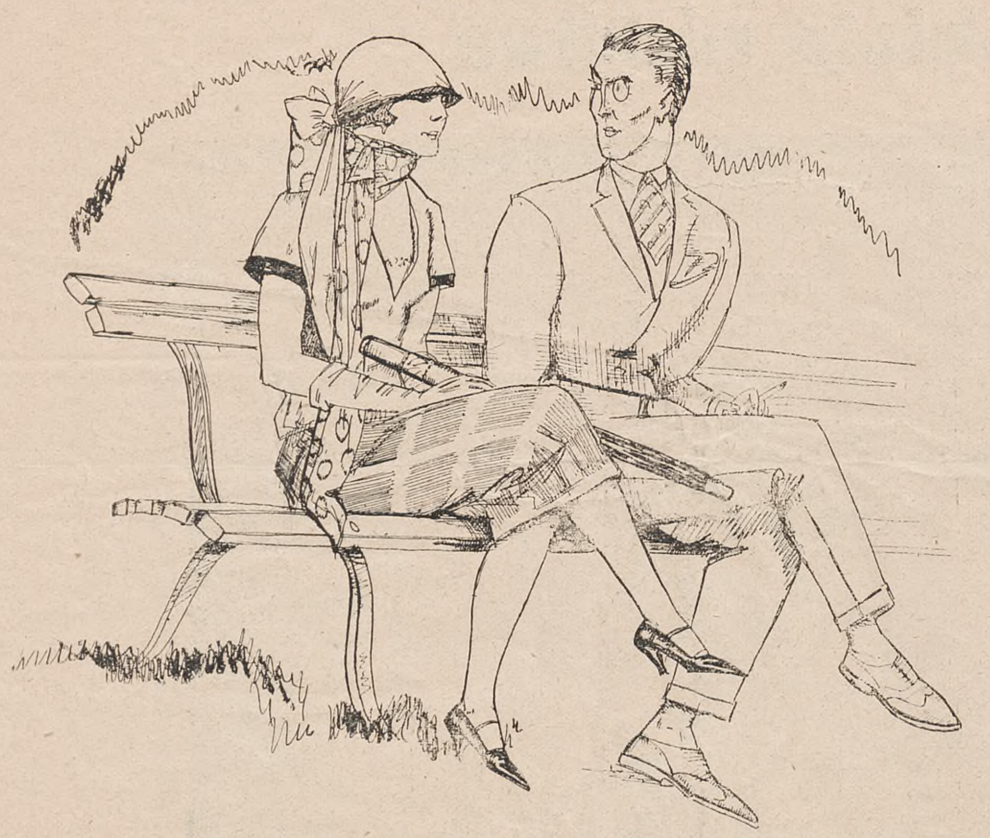
Śniadanie w szantanie, a obiad w wagonie
wieczerza na plaży w miraży grach stu
kochanek się topi z miłości — niech tonie...
ja z drugim z kolei mam dziś rendez-vous!

Chcę nowe codziennie ubierać pończoszki
i nowe wrażenia przeżywać co dzień.
Nie pojmę, jak żyją domowe kokoszki
leniwe, jak krowy i martwe, jak pień.

Mężczyzna – to auto, zabawa i taniec,
mężczyzna to dzikość, rozpusta i szał,
— więc życie i mężczyzn wyzyskać po kraniec
i wyssać do szczętu... gdy los go nam dał...

Czy jestem dziś piękna i zgrabna dziewczynka?
Kobieto włóż na się wytworne dessous
na szyję szal – apasz, — ah! puder i szminka!?
Dzisiejszy bal w parku, to rozkosz i clou ..

Na plantach



Wiosna . Ciepło. Planty... Maj...
On i ona . to mi raj..
Wprzód z daleka... potem z bliska..
I już chłopiec pannę ściska...

Potem wsiądę do dorożki..
Ona cienkie ma pończoszki...
On ubranie ma tip — top .
Bierz mnie pannę, skoroś chłop.

Więc na błonia, na Bielany
Football, cyrk i drab zalany...
Zakochani bukiet z róż...
Wolna miłość... no i już...

Taki wiersz bez sensu, treści
Wszystko zniesie, wszystko zmieści.
Wiosna... Ciepło... Planty... Maj..
Gwałtu... Rety... Ajajaj!!!...

Nie w tem samem miejscu.

Mały Jerzyk, urwisz nielada, przeskrobał coś a ojciec wsypał mu za karę dwanaście trzcinek w czułe miejsce. Jerzyk zbeczał się bardzo, a ojcu żal się zrobiło jedynaka.

Pocieszą go — i chce uspokoić.

— Wierz mi Jerzyku, że ja cię bardzo kocham...

— Aha — potwierdza powątpiewająco Jerzyk stękając z bólu.

— Wierz mi, że ile razy jesteś niegrzeczny, a ja cię muszę skarcić i wybić, boli mię tak samo, jak ciebie, a może i więcej.

— Tak — mówi Jerzyk z żalem — ale nie w tem samem miejscu.

Usprawiedliwił się.

Lokator X. wpada oburzony do mieszkania dozorcy domu:

— Wy ładnie pilnujecie bramę! Ładny z was dozorca!... Dowiaduję się, że od trzech miesięcy co nocy wpuszczacie jakiegoś mężczyznę do mojej kucharki!...

— Przepraszam wielmożnego pana — mówi stropiony dozorca — ja tego człowieka dobrze znam i myślałem, że on zachodzi do wielmożnej pani...

■ ■ ■

W ten sam sposób.

Panna Lucia przetańczywszy walczyka z panem Pawłem, skarży się przed swoją matką:

— Ach, mamo, ten człowiek tak mnie do siebie przyciskał, że omalo nie zemdlałam...

— Nic nie szkodzi! — woła uradowana mama. — W ten sam sposób twój ojciec także wpadł...

■ ■ ■

Ze zmartwienia.

Na godzinę przed pogrzebem swej żony znikł Izydor Kaczkensprung z domu. Zrozpaczona rodzina poszukiwała go po całem mieście, gdyż godzina wyznaczona na pogrzeb dawno minęła a uczestnicy pogrzebu zaczęli się rozchodzić do domów.

Jednemu ze sąsiadów przyszło wreszcie na myśl poszukać na strychu i ten też znalazł Izydora w najmilszem tête-a-tête ze swoją młodą i przystojną służącą.

— Bój się Boga! — woła oburzony sąsiad. — Jak ty się nie wstydzisz w godzinę pogrzebu swej żony robić takie świństwa! Izydor, tego to ja się nie spodziewałem po ciebie! Wstyd!...

— Ja sam już nie wiem co ja robię ze zmartwienia! — mówi Izydor porządkując garderobę. — Ja te śmierci nie przeżyję!

* * *

Wśród licznych firm, które ogłosiły niewypłacalność, znalazła się też firma Kohn & Kahane, która faktycznie została doszczętnie zrujnowana.

Zrozpaczony i nerwowy z natury Kahane biega w czasie rozmowy ze swoim wspólnikiem po kantorze i wyrywa sobie resztki włosów z głowy, podczas gdy flegmatyczny Kohn stoi spokojnie z rękami w kieszeniach, w których, widocznie dla oka przebiera palcami.

Wyprowadzony z równowagi spokojem Kohna woła oburzony Kahane:

— To ja psiakrew biegam jak warjat i wyrywam sobie włosy, a ty stoisz spokojnie z rękami w kieszeni?

— A kto ciebie powiedział, że ja sobie nie wyrywam włosy? — pyta Kohn, nie wyjmując rąk z kieszeni.

Hwang — Czeng,
praktyczny filozof.

Gdy Hwang Czeng pojął za żonę panią Li rzekł jej, wprowadziwszy ją do pokoju z posążkami przodków.

Najdroższy mój kwiatuszku, Li. Jestem praktycznym filozofem, więc chcę z tobą porozmawiać praktycznie. Ty masz wiosen 12, a ja 74 jesienie życiowe i reumatyzm, pozatem jesteś moją piątą żoną. Małżeństwo takie w założeniu jest skazane na niepowodzenie. Lecz ponieważ wiek przydał mi mądrości i mędrców pobłażania, przeto przedkładam ci następującą umowę: Otóż wiedz, że mam czterech uczniów: wysokiego i mądrego Czen Szen, niskiego i głupiego Jtsu Twan, krępego i sprytnego Tan Su i wreszcie chudego i ślamazarnego Ki-Pwo. Jednego z nich masz prawo wybrać na kochanka. I to dziś, lub kiedy ci się spodoba. Uświadomiłem ich (zaznajomiwszy się z wiedzą europejską) o niebezpieczeństwie stykania się z kobietami swobodnych obyczajów. Trwają oni w czystości w oczekiwaniu ciebie. Zbadałem wymiary ich ciała — odpowiadają twoim, nauczyłem ich czterdziestu najpiękniejszych sztuk miłosnych, z tych, które są najbardziej eleganckie, wykwintne, i nie przesadzają w lubieżności. Jestem praktyczny filozof, *wszystko przewidziałem*. W głębi mego domu jest samotny pokoik, w którym pełno dywanów, kanap, poduszek i perfum. Tam zupełnie bez przeszkody możesz się pieścić z jednym z nich... Nie wymagam od ciebie przysiąg. Jestem spokojny o to, że wybierzesz jednego z tych czterech, bo to są jedyni ludzie, z którymi się stykamy.

Tylko teraz jedna prośba, a raczej żądanie... Oto gdy się to stanie, daj mi znak... naprzykład połóż kwiat na moim stole... Pani Li słuchała tych słów rumieniąc się i wstydząc. Przysięgała, że nigdy jej nie przyjdzie myśl o zdradzie, na co się Hwang Czeng pobłażliwie uśmiechał.

Upływały miesiące w szczęśliwym pożyciu... Czterej młodzieńcy zalecali się do wdzięków małej Li, lecz nadaremnie... Trwała w cnocie niewzruszona, jak ostryga w skorupce — rok jeden i drugi.. Pan Hwang Czeng zacierał ręce i mówił:

Wiedziałem, że jestem praktycznym filozofem i umiem sobie życie urządzić.

Pewnej nocy p. Hwang Czeng nie mógł spać Wszedł więc do komnaty swej żony, chcąc spróbować, czyby przy jej pieszczotach nie usnął... Ale małej Li w łożu nie było. Cichym krokiem przechodził cały dom — nigdzie śladu jego najdroższej... Zaszedł na podwórze i zajrzał przez otwór do stajni. I oto co w jasnem świetle księżyca ujrzały jego oczy:

Na wiązce siana leżała ona w objęciach chłopca stajennego, który praktykował jedne z tych zakazanych przez niego, najbrutalniejszych sztuk miłosnych.

Hwang Czeng wrócił do domu, jak przyszedł nie spostrzeżony... Zapalił fajeczkę opium, ale silniejszą niż zwykle — o znacznie silniejszą....

Gdy nazajutrz rano mała Li przyszła mu powiedzieć „dzień dobry" nie odpowiedział jej....

Jego praktyczna filozofja nie pozwoliła mu przeżyć tego ciosu....

Między służącemi.

Czy przychodzi do was do domu wielu oficerów?

Tak, ale nasze panienki zaliczają wszystkich dla siebie.

W szkole.

— Srulek, ty powiedz mi — ile jest gatunków zwierząt?

— Są trzy gatunki zwierząt! Mięsożerne, trawożerne i... koszerne.

Firmament.

Leosz: Kochane moje tate. Małe pytanie?...
Tate: Jakie pytanie, kochany mój Leosz?
Leosz: Co to jest firmament?
Tate: Firma Ment? Co za firma? Ja takie firme nie znam.

Tadeuszka z Telimeną flirt w przysłowiach.

Tadeusz (wchodząc): Kto rano wstaje temu ciocia...

Telimena: O Tadeuszku, najpiękniejsza dziewczyna świata daje tylko to, co chce.

Tad.: Tak ale śmiałemu sprzyja fortuna.

Tel.: Nie chełp się Tadeuszku, kto zbyt wiele obejmuje, ten źle ściska.

Tad.: Ale ja chyba nieźle?

Tel.: Dobrze... dobrze..., tylko się zmęczysz gdy tak daleko będziesz jechać. Pokaż śwince palec, a chwyta za całe...

Tad: ...Łono...

Tel.: Wisus z ciebie... Gdybym nie była twoją ciocią to by ci to tak łatwo nie poszło, ale hola, co za wiele, to niezdrowo. Tu kres.

Tad.: Doskonale... Gdy kobieta zabrania, to się zgadza.

Tel.: Przekonywasz mnie swemi przysłowiami. Wobec tego kuj żelazo póki gorące!... Ach, cóżeś się tak zamyślił, jak ciele nad swym martwym ogonkiem...

Tad: Głową muru nie przebijesz.

Tel.: Wstydź się Tadeuszku, nie święci garnki lepią..

Tad.: Ale im dalej w las... tem więcej...

Tel: Złemu pisarzowi najlepsze pióro zawadzi.

Tad.: Ależ tu ciemno, że oko wykol.

Tel.: Muszę cię wesprzeć swojem doświadczeniem... A widzisz, że umiesz... Pamiętaj dziecko, czego się Jaś nie nauczył, tego się Jan nie nauczy. Ale teraz dość... Największa mądrość poprzestać na małem.

Tad.: No, wiesz, ciociu, kto daje i odbiera...

Tel.: Bierz cię licho, masz rację. Koniec dzieło chwali...

Tad.: Tak... Koniec... (mruczy do siebie) prawdę mówiąc kupiłem kota w worku (do Telimeny): Inaczej to sobie wyobrażałem.

Tel.: Ha, gdy dwóch robi to samo, nie jest to samo... Jesteś jeszcze niedoświadczony, a doświadczenie drogo kosztuje... Ale wiesz co? Pierwsze koty za płot.. Za drugim razem sztuka...

Tad.: Tak chcieć a nie móc, oto bolów ból.

Tel: Ha, zimny niewdzięczniku, tak mi się odpłacasz pięknem za nadobne, jużem cię przejrzała.

Tad.: Ciotuniu, kochanie, przecież widzisz, że nie w ziemię wkopuję me talenty.

Tel.: Brutalna i nędzna krowo, co dużo ryczy...

Tad.: O... o... wiele hałasu o nic...

Tel.: To ty niegodny niczem nazywasz? Biegnę poskarżyć się stryjowi. Będziesz ty na dywanie ruski miesiąc pamiętać. Boże, żebym była przejrzała taki podstęp. Tak skrzywdzić słabą kobietę. Partacz!... fuszer!... albo nie: zemszczę się szlachetnie. Jeszcze ty wpadniesz w te dołki... Co się odwlecze, to nie uciecze, żegnaj!...

Dwa pytania.

— Więc myślisz, że uda mi się rzeczywiście zdobyć serduszko tej niewinnej i czystej dziewczyny?...

— Dlaczegóżby ci się nie miało udać to, co już tylu innym się udało?...

■ ■ ■

Cnota.

— Moja cnota jest moim jedynym posagiem.
— Biedna dziewczyno!

* * *

— Wierz mi pan, że cnota jest moją osłoną.
— I nie marznie pani?

■ ■ ■

Wasz wiek.

Mąż: Moja droga, tylko nie dekoltuj się tak bardzo, bo czasy *odkryć* już dawno minęły!

Żona: Tak, ale w ich miejsce nastały czasy *wystaw!...*

○ ○ ○

Cztery sezony kobiety.

Wiosna.

Przeciągi wiatrów... Pełno słońca wszędzie
Na plantach zieleń, wilgotne bzów krzewy.
„Dziś" było cudne, lecz cudniejsze będzie
„Jutro" wśród szczęścia radosnej ulewy.

Match footbalowy. Wyścigi. Festyny.
Jazdy na bryczkach pod wiatr z rżeniem koni –
a w drobnych uszkach uroczej dziewczyny
sto uczuć tętni i sto piosnek dzwoni.

Maj i kochanek. Spacery po lesie.
Bukiety kwiatów od niego w podarku.
Kobieta zrywa mak – w schyleniu gnie się
i czuje ciepłych warg dotyk na karku.

Miłość musuje, szaleje i tańczy
miłość dziewczynką, jak wiatr listkiem miota.
Ma smak soczystej, krwawej pomarańczy,
jest jak noc srebrna, jak wschód słońca złota.

Wiosna nas dziwną otacza poezją,
Zawraca w główkach kobietom, jak wino.
Grzeszymy śmiało z wytrawną finezją
i stu nas pieszczot uczy Aretino.

Lato.

Lato jest źrałe i skwarne i suche,
Słońce nas praży nieznośnie i wściekle.
Ach... chłodna kąpiel – – potem ciasta kruche,
lody i kremy. Gorąco jak w piekle...

Pod parasolką w eleganckiem „landeau"
z mężem, z kochankiem pojadę w aleje.
Pstre suknie kobiet jaskrawą girlandą
wkrąg nas fruwają. Za chwilę deszcz leje...

Burza — pioruny. Ulewa, świat moknie.
Chciałabym w deszcz ten nago biec i pląsać.
Tymczasem stoję w szlafroczku przy oknie.
Za chwilę będę jego usta kąsać...

Zapuścim story.. Kochanek mój puka.
Murzynku, porusz twym wielkim wachlarzem,
Masz skórę, jak heban, włos jak skrzydło kruka
i pachniesz Wschodem i pusty'ni mirażem.

Pieszczoty mo,e są dzikie, jak tygrys,
A potem naga leżę na dywanie..,
Noc... Przyszedł księżyc i pieczęć mi wygryzł
zębem na piersiach... Chodź! Jam twoja panie!

Jesień.

Szumią przeciągle kołyszące drzewa,
Liść żółty spływa i smutnie szeleści.
Świat cały topi posępna ulewa.
I jest, jak rozdział z tragicznej powieści.

W parku jest głucho i pusto i szaro,
kwiaty nie pachną i niema już ptaków.
Wiatr domem trzęsie, jak ruderą starą
– a ja się w domu huśtam, jak w hamaku.

Czekam... Ktoś przyjdzie? Może. Nie wiem sama.
Zegar tak dziwnie monotonnie tyka.
Wczorajszy dzień był, jak złota pyjama
jak Schumanowska, żałosna muzyka...

Wczorajsza jesień dawała czar baśni –
Dziś jest ohydnie, zgryźliwie i mętnie,
Może „On" przyjdzie i urok mi rozjaśni,
całując strasznie tak i bezpamiętnie?...

Nie. Jego niema. Pluszcze w polu słota
skomli, jak psisko jakiś bies z kominka.
Zlituj się, powróć i bądź znowu złota
jesień z „wczoraj". – – Tak prosi dziewczynka.

Zima.

Biało i biało. Pruszy śnieg z wysoka.
Śnieg pod nogami skarży się boleśnie
Nigdzie dla serca nic i nic dla oka –
świat cały martwy, jak mumja, jak we śnie.

Czasem weselej się robi na duszy.
Chłopiec mój wpadnie kochany i słodki –
rozgrzewam w wargach przemarznięte uszy
a on dziękuje za tkliwość pieszczotki

Porwie ze sobą w śnieg, w mróz, w szał na niebie,
do rozhukanych posadzi mię sanek
w białą mnie bajkę gdzieś gna het przed siebie
ten mój najdroższy, szalony kochanek.

Ulepim sobie bałwana ze śniegu
będziem kulami się bić, jak urwisze.
Pobiegnę w pole — a w tym dzikim biegu
jego zdyszany szept z tyłu posłyszę...

Dopadnie, chwyci i będzie całować
tak samo mocno, jak w wiosnę i w lato...
Całuj! Tak zimno... Brr... Ty mnie poprowadź
w świat ciepła... Ja cię będę kochać zato...

Aforyzmy o kobiecie i innych nieszczęściach

Mężczyzna, który zabija kobietę, popełnia zbrodnię — rzadko błąd.

* * *

Najwięksi filozofowie mają zazwyczaj najbrzydsze żony. Jest to rzeczą zupełnie naturalną, bo u boku pięknej żony zapomina się o całej filozofji.

* * *

Flirt jest to umeblowany pokój z widokiem na ogród – bez prawa używania ogrodu.

* * *

Gdy kobieta nie posiada pięknych zębów, to śmieje się ona oczyma.

* * *

Niejeden chętniej kobiecie przebacza fałszywe serce, jak fałszywy biust.

* * *

Kobietki podobne są do metalów; im starsze są, tem częściej chcą być polerowane.

■ ■ ■

Właściciel i wydawca: Czesław Lipiński. Odpowiedzialny redaktor T. Borzęcki. Drukarnia i kliszarnia „Nowości Illustrowane" pod zarządem L. Gronusia (firma Friedlein

Apollo i dziewczynka



Taka mała dziewczynka w berecie na główce,
z książkami w paskach w rączce nieśmiała i cicha...
Taki szczupły podlotek w pospiesznej wędrówce
do szkoły przez tłum ludzi się groźnych przepycha.

Biegnie sobie po schodach ogromnego hallu
myśli: Umiem na dzisiaj historję, niemieckie
Wczoraj byłam ze Stasiem „en deux“ na footballu
Jeden pan mi powiedział: „Jesteś ślicznem dzieckiem“.

Myśli skaczą. Wtem nagle na schodów zakręcie
kształt cudny, kształt nieznany jej oczom się jawi:
Apollo z lutnią w ręku, jak sztyletu cięcie
jakimś grzesznym zachwytem serduszko jej krwawi.

Apollo... w snach widziany... Młodzieńczy, uroczy
nagiem ciałem ją nęci, poraża i kusi.
— Helu, nie patrz, nie wolno – ramieniem słoń oczy.
Biegnij prędko do domu, przyznaj się mamusi.

Nie dla twoich to źrenic dziewczynko, mężczyzna...
Jego ciało niech długo zostanie ci obcem...
Przyjdzie kiedyś do ciebie i miłość ci wyzna...
i będziesz po raz pierwszy całować się z chłopcem.

A dziś? Jeszcze zawcześnie i nie trzeba jeszcze
pożądaniem rozpalać małego serduszka...
Dziewczynka kryje oczka i parzą ją dreszcze..
„Grzech“ — szepce jej czerwony djabełek do uszka.